TYGODNIK WILENSKI.

N. 22.

Dnia 30. Listopada 1821. roku v. s.

PROSTAK WIEYSKI DO ARGUSA MIEYSKIEGO.

Mości Panie Redaktorze Tygodnika wileńskiego!

Kto się urodził przed połową wieku przeszłego, kto zwiedził całą prawie Europę w zamiarze doskonalenia się w naukach, w widokach poznawania ludzi albo w obowiązkach służby woienney, kto potym nasycony światem, usiadł w szczupłey zagrodzie i ściśle rozbiérał wszystkie swe doświadczenia; ten, ma prawo wyrzec cóś o sztuce tak trudney życia towarzyskiego w piśmie WMPana przeznaczoném, zdaiemi się, dla podobnych przedmiotów.

Zmuszony różnemi interesami, a czasem znudzony iednostaynością wieyską, zwiedzam niekiedy Wilno, iako sąsiad tego miasta. W towarzystwach mniey znaiomych milczę, albo z przykrością, kiedy niekiedy coś przebękiwam. W gronie dobrze znaiomych, zwłaszcza przy wesołey biesiadzie, bywam gadatliwym, a osobliwie, gdy idzie o materye powabnieysze;

w publicznych zaś mieyscach iestem tylko widzem i słuchaczem: a że umiałem skrzętnie od piérwszey młodości oszczędzać siły me żywotne, przeto i dzisiay ciało me zwątlone, ma umysł dosyć krzepki, przytomny, a czasem i bardzo trafny w sądzeniu. Dla tegom skreślił krótko moię własną biografią, abym iakąkolwiek ufność ku sobie wzbudził.

Zaznaiomiony z wielu osobami, bywam w wielu domach i postrzegam niemal wszędzie P. Argusa, potomka prawego ze świetney rodziny Argusów starożytnych. Bynaymniey odeń nieznany, a siedząc albo gdzie w kąciku, albo przy stole na ostrym końcu, przysłuchuię się nader wygodnie wszystkim iego zdaniom i rozumowaniom. Żal mi nieraz, że ten młodzieniec, skądinąd obdarzony przymioty dosyć znamienitémi, wpadł na myśl niebezpieczną, często sobie a zawsze drugim szkodliwą, wyszydzania lekkich wad obcych, i niektórych stosunków towarzyskich, które podług obecnego składu przyrodzenia i ludzi, muszą prawie bydź koniecznie. Móy Boże! pomyślałem sobie, zacóż ten młody człowiek dręczy siebie i drugich z umysłu, iakby niedosyć było na klęskach, które poniewolnie trapią biédnego człowieka wewnątrz i zewnątrz! Ponieważ zwykłem śledzić pilnie przyczyny wszystkich skutków, dochodziłem więc powodu takiego postępowania.

Nim atoli to odkryię, wyłożę wprzód kilka wyroków Argusa, a poźniey podam sposoby do uniknienia stanu tak przykrego, co może wielu posłużyć za przestrogę.

Byłem raz u Staróściney, kiedy Argus rozdąsany, dawszy się iuż słyszeć na wschodach z pamiętném owem: „*Quousque tandem!*“ (iest bowiem z niego filolog dosyć biegły), wpadł do pokoiów z naieżonémi włosami, i wygadywał dzikie rzeczy na hrabinę; posądzał ią o zalotność, zarzucał płochość i skazywał sposobem sądowniczym na *infamię* wieczną i doczesną. Wierzay mi iednak młodzieńcze, co ci powiem, iako znaiący ią od piérwszego dzieciństwa pod wychowaniem matki czuwaiącey i roztropney, że gdybyś przy ciele Adonisa miał przymioty siedmiu mędrców greckich, nie wyprowadzisz iey w pole. Jedno zuchwałe spóyrzenie, ukarze natychmiast gromiącym wzrokiem, upokorży cię i całkiem zmięsza. Zna ta czaruiąca kobiéta, że iey płeć iest kwieciem w rodzaiu ludzkim, że ią wrodzona skłonność wiedzie do chęci podobania się; lecz też przez troskliwe wychowanie i czuwanie nad sobą, umie ona tę skłonność trzymać na wodzy, i nigdy nie wykroczy przeciw skromności, temu urocznemu we płci żeńskiey powabowi. I na cóż ta skwapliwość w sądzeniu niepoznawszy dobrze osoby? Alboż to znaczyć co będzie w głowach doyrzałych?

Pewnego wieczora zaszedłem do Marszałka, którego cała publiczność uwielbia iako rozsądnego, gorliwego w rzeczach prawych i czynnego obywatela. Zastałem iuż Argusa piorunuiącego na szlachtę. Dowodził, iż to iest gąsienica w rodzie ludzkim, a w mocném uniesieniu szkodliwość iey ze szkodliwością żydów porównywał. Wszyscy się bronili iak mogli: niektórzy dosyć mocno. Zapytany od Marszałka o zdanie w tym przedmiocie sporu, odpowiedziałem lakonicznie; iż wiele rzeczy na pozor inaczey się wydaie, iak gdy są rzeczywiście i istotnie rozważone. P. Argus z tryumfuiącą miną rzecz mi przerwał, mówiąc, że to iest odpowiedź nadto ogólna; iestto angielskie siodło na każdą szkapę. Wyzwany tak rubasznie, musiałem stanąć w szrankach i daley myśl moię popierać. Powiedziałem, że się świat nie rusza podług uroień nauki acz naymoralnieyszey z xiąg wyczerpaney, lecz podług przeznaczeń nadanych mu od natury, tey iedyney i wielkiey mistrzyni (*natura daedala rerum*); że błądzi ten, kto chwile bytu swego, bierze za stan nieodmienny rzeczy ludzkich; że w świecie moralnym i politycznym, iak w fizycznym wszystko się rozwija do pewnego zamiaru, a zatém środkowych ogniw tego niezmiernego łancucha przemian, nie można i nie należy brać za stan trwały rzeczy; że rozważnemu po-

strzegaczowi daie się widzieć wyraźnie epoka naywyższey doskonałości, do którey rod ludzki zbliża się mniey lub więcey. Wywiodłem ztąd daley, iż piérwiastkowa szlachta, byli to rycerze zdobywaiący, albo staiący mężnie w obronie swych osad, więc zasługiwali za to poświęcenie się na iakieś odróżnienie. Sama natura, odznaczaiąc dobitnie stany rolniczy i przemysłowy, wskazała, że chce mieć osóbny stan rycerski do pewnego czasu, który też odpowiadał i odpowiada aż dotąd godnie swemu przeznaczeniu, przyczyniaiąc się wszelkiemi sposoby do udoskonalenia społeczności. Piérwsze klasztory, te przybytki nauk starożytności, kościoły, gmachy publiczne, zakłady naukowe; wszelkie wielkie przedsięwzięcia, któremi się przez niewiadomość i niemożność dwa piérwsze stany zaymować nie mogły, wszystkoto było i iest dziełem szlachty. Na to wszystko P. Argus zżymaiąc się złośliwie, kaszlał, chrząkał, kichał, wichrzył swą czuprynę, nazywał myśli moie sofizmatami, gadał że wpadłem w koło obłędne (*circulus vitiosus*), i wykrzyknąwszy donośnie: „*o tempora! o mores!*“ pożegnał towarzystwo podług wszelkich przepisów wytworney grzeczności, co mu się bardzo pięknie udało.

Na przechadzce publiczney podsłuchałem, iak nasz ostrowidz powstawał mężnie

przeciwko zbytkom. Zamożny w koncepta prawodawców oszczędności, wymierzał każdemu iakby cérklem okres sposobu życia. Krzyczał, na co te kosztowne szale, chustki, materye, sprzęty, powozy, pałace, pasztety, sosy, i. t. d. Kucharzom wypowiedział otwartą woynę, Cukierników wygnał, rzucał nawet pociski na doskonałych modnych krawców i szewców; wyraźnie dawał poznawać, iżby żądał udoskonalony we wszystkiem przemysł wieku dziewiętnastego, zwrócić do karbów wieku ósmego lub dziewiątego. Słysząc, że tey rozprawie wszyscy współtowarzysze przechadzki potakiwali, nie śmiałem wdawać się w walkę tak nierówną. Skonczyło się więc na rozmowie z samym sobą, czyli na samych myślach, z których wymieniam tu niektóre — Przechadziąc się często po polach, a mianowicie po ogrodach, zawsze się zdumiewam nad harmoniczną niezmierną rozmaitością w całości królestwa roślinnego, lubo poiedyncze rośliny różne są między sobą co do składu, piękności i użytku. Nigdy mi się atoli nie zdarzyło słyszeć, aby hyzop, wrzos, pokrzywa, piołun, brzoza lub wierzba szemrały z zawiści, pozieraiąc na róże, goździki, morele albo lipy. Zaniechano też, z pociechą dla wszystkich miłośnikow piękney natury, zasadzać ogrody symetrycznie, obcinać, ostrzygać drzewa i tym spo-

sobem napełniać rozległe przestrzenie wymuskanemi *karykaturami* roślinnémi. Otoż porównanie z całością ludzkiey społeczności. Pozieraymy podobnie na ludzi i nie bierzmy się skwapliwie do reformy. Chatka i pałac, wozek i karéta, suknia galonowana i odzież skromna, stół wytwornie, ozdobnie ustawiony i strawa oszczędna, wszystko to bez żadnego uszczerbku towarzystwa razem bydź może. Porobić wszystkich bogatymi albo ubogimi, niepodobna; bo w piérwszym razie byłoby niesprawiedliwie odbierać komuś własność siłami osobistémi nabytą, a nadto trzeba byłoby ieszcze nauczyć sztuki używania rozsądnie bogactw, co nie iest rzeczą zbyt łacną; w drugim razie, nierówność sił przyrodzonych zniosłaby wkrótce równość ubóztwa. Zbytki w użyciu fizyczném, samo przyrodzenie karze surowo; marnotrawstwo lekkomyślne, pociąga za sobą okropne skutki; ale możnemu przepisywać dowolnie sposoby używania własnego maiątku, iest to naruszać wolność iego naydotkliwiey, odbierać mu wolę, smak i wszelką chęć do działania użytecznego w społeczności. Naywytwornieyszy przepych bogacza rozsądnego, utrzymuie w dobrym bycie liczne rodziny: iestto dąb rozłożysty, cień konarow iego opiekuńczy, służy za schronienie tysiącom małych roślinek. Kto z niedostatku rzeczywistego lub z umysłu gar-

dzi *cynicznie* bogactwem i dobrém mieniem, taki pospolicie wystawia się na pośmiech lub politowanie. Diogenes wchodzi do pięknego mieszkania Platona, rzuca na ziemię bogate iego wezgłowie i mówi: „ depcę wyniosłość Platona; “ na co mu dostatni mędrzec odpowiedział: „ innym rodzaiem wyniosłości. “

W publicznym domu na kawie, podobało się Argusowi probować swey wymowy przeciwko Kasztelanicowi. Gadał, że to iest człek próżny, dumny, skąpy, że się udaie za miłośnika sztuk i nauk. Znaiąc dobrze Kasztelanica w różnych stosunkach życia, nie mogłem przewieśdź na sobie, żebym się nie wdał w rozmowę. Znaszże Pan mówiłem, doskonale tego, o którym tak śmiało i z taką pewnością wyrokuiesz? Nieiestem z nim w żadnych związkach, raczył P. Argus odpowiedzieć, lecz widzę go niekiedy tam i ówdzie.— Ale to widzenie niekiedy tam i ówdzie, nie iest dostateczném do sądzenia o czyimś charakterze. Cobyś Pan na to powiedział, gdybyś widział ciągle własnémi oczyma, że ten sam Kasztelanic, tak niekorzystnie odmalowany, iest przyiacielem we wszystkiém porządku nayściśleyszego, otwartym w postępowaniu i wszelką się obłudą brzydzi; lubi przyiemność, lecz użytku nie zaniedbuie, w całém urządzeniu swego domu może bydź dla drugich wzorem, cierpiącym ochoczo pomoc

niesie, z podwładnymi obchodzi się zawsze naygrzeczniey i nayłagodniey, a to dla tego, aby wrazie potrzeby, okazanie niechęci naymnieyszey, wskazało chybiającemu iego błędy, przez co można się obeyśdź bez hałasu i fukania, środków pospolicie używanych z domownikami — Powiedziałbym, rzekł Argus tonem wyniosłym, że postępuie roztropnie, iednakże i wtedybym nie zgrzeszył bardzo, gdybym ucinkiem iakim upokorzył Arystokratę — Ale za coż go upokarzać? Wszakże możność i bogactwa mogą się łączyć ze znamienitémi przymiotami i zasługami. Ma te przymioty ten tak nazwany Arystokrata, w większey podobno ilości od nieiednego Demokrata. Czcigodni ludzie kochaią go i poważaią: zna on świat dobrze. Niedołężną muchę spędzi z nosa; lecz biada komorowi, który go mocno ugryzie.

Z tego wywodu krótkiego okazuie się, że P. Argus sądzi o rzeczach niedoyrzale, i ie maluie bez potrzeby tak czarnémi kolorami. Przyzwoiciey byłoby, dogodniey dla własney i drugich spokoyności, patrzać na to wszystko okiem przenikliwém *Optymisty*, niżeli się przeistaczać w bociana, dla oczyszczenia świata z wad bardziey uroionych, niż rzeczywistych. Odmiany w stosunkach towarzyskich uskuteczniaią się z góry przez działania walne Rządu, zastosowane trafnie do okoliczności mieyscowych;

daremne są w tym względzie wszelkie usiłowania prywatnych. Lekkie wady wynikaiące z ułomności w charakterach, albo z mniemań i zwyczaiów panuiących, prostuią się same i poprawiaią przez ścieranie się z mniemaniami przyzwoitszemi i ze smakiem delikatnieyszym; niekiedy też pomaga tu sól attycka, byleby przyprawy tey używać z pomiarkowaniem, lepiey w każdym razie niedosolić, niż przesolić. Powinienby wiedzieć P. Argus, iż chcąc sprawować użytecznie urząd Katona w społeczności, trzeba mieć za sobą ieszcze, prócz naywiększey bystrości władz umysłowych, powagę wieku, która przez doyrzałość doświadczeń wzbudza ufność, i nikogo nie gniewa; w uwagach zaś młokosa z brodą przyprawioną, pomimo naypilnieysze nad sobą czuwanie i błyszczące pozory, że się pisze w naylepszym zamiarze, zawsze się przebijać będzie namiętność, burzliwość i płochość młodociana, albo chęć popisu z talentem pisania, a to wznieca podeyrzenie względem czystości zamiarów, obrusza słusznie rozsądek starszych i chybia skutku zamierzonego. Dla tego należałoby mieć to zawsze w uwadze, kiedy czy iedna osoba, czyli też towarzystwo iakie wdziewa na się togę cenzorską. Towarzystwo takie, gdyby się składało z członków różnorodnych, a zatem ubiegaiących się bardziey za iskrami dowcipu, aniżeli za iasną pochodnią,

przyświecaiącą dobrym obyczaiom, nigdyby celu swego nie osiągnęło. Iedni nazwaliby to składem iadu, truiącym spokoyność towarzyską; drudzy widzieliby w tém wskrzeszenie owych, za dobrych czasów, naiemnych trefnisiow, którzy niedołężnym bogaczom wstrząsali dla strawności błonę śmiéchu, a niektórzy nawet możeby się ośmielili powiedzieć, iż to iest spisek słabych *Plebeiuszów* przeciwko możnym *Patrycyuszom*. Uchoway od tego Boże! odnowiłyby się wtedy sławne przygody Troiańskie, tém okropnieysze przy takiey liczbie Achillesów! O Homerze! mężu wielki i niezrównany! utworzyłeś (iak P. Armand uważa dowcipnie) w Iliadzie i Odyssei dwie wielkie bryły djamentowe, którym ani kosa czasu, ani piła zawiści uszkodzić nie zdołaią; lecz ileż ci to trudow mozolnych kosztowało, nimeś w imaginacyi swey twórczey, wynalazł rysy do wydania z taką stałością charakterów znakomitych. Nie byłożby ci łacniey tego dokazać, gdybyś się za naszych czasów urodził, gdzie żyiące osoby służyłyby ci za wzór w robotach pędzla twego przedziwnego. Uśmiéchnąłbyś się wprawdzie, patrząc na Achillesów we fraczkach, leczbyś wkrótce dostrzegł, iż dusze nasze potężne godne są żeby ich ciała przywdziały tunikę grecką. Nie prawdaż czytelniku?

Lecz przebóg! cożem nieszczęsny u-

czynił! Wstęp sążnisty! maiąc rzecz z Argusem. Wybacz stooczny paniczu. Każdy wpadnie w *gawędę*, kiedy mu wiek zakarbuie siódmy krzyżyk na grzbiecie, czem prędzey do rzeczy. Znaiąc dobrze ścisły związek duszy z ciałem, oraz zobopolny wpływ iedney istoty na drugą, doszedłem po ścisłém śledzeniu, że sposób fizyczny życia P. Argusa może się znacznie przyczyniać do uszczypliwey zawziętości i owych posępnych, dręczących wyobrażeń. Często używa diety zbyt ścisłey, przekładaiąc królestwo roślinne nad zwiérzęce, a piwo marcowe narkotyczne przez bahun i inne mięszaniny Izraelitów, z których nie każdy iest dobrym chemikiem, rodzi w umyśle posępność. Życzę przeto, aby odmienił sposób życia, iadał potrawy smaczne, posilnieysze i pił dobre wino. Sposób taki życia, nastroi harmoniczniey imaginacyą, i zaręczam, iż cały świat lepszym się okaże. Myśli wesołe zastąpią mieysce posępnych, i wszystko iak naypowabniey wydawać się będzie. Nieraz ciało i umysł, leczą się nawzaiem.

Si vales bene est.

P. S. Oświadczam imieniem wszystkich w mey prowincyi miłośników iezyka narodowego i nauk pięknych wdzięczność nayszczérszą, zacnemu pisarzowi Nrku 257 *wiadomości brukowych.* Stawać w obronie

ięzyka, tey własności drogiey, nayważnieyszey i wspólney, gromić zuchwałość targaiącą się na popioły męża znakomitego; otoż walny zamiar cenzorskiego urzędu. Tymto sposobem Towarzystwo *Szubrawców*, postanowiwszy sobie pewne prawidła przyzwoitości i przystoyności, stało się prawdziwym sądem opinii publiczney. Tey lękaiąc się każdy, musi albo się poprawić, albo ukrywać ze swémi wadami, naczem już wiele zyskuie społeczność. Co za szał, chcieć działać na przekorę naturze, usiłować zostać *wierszorobem* i wymusić to mechanizmem rzemieślniczym, co może bydź tylko skutkiem swobody umysłowey, natchnienia geniuszu za pośrednictwem sztuki ukrytey naystaranniey. Wszakże nie iest każdego powinnością bydź Poetą! Machina towarzyska nader złożona tyle ma kółek, iż można prozaicznie przyłożyć się bardzo do ruchu iey harmonicznego. Gdyby Pan *Liberaparte*, którego nie znam osobiście, był z mego powiatu, wniosłbym na piérwszém zgromadzeniu szlachty, iżby wysłać do niego deputacyą z prośbą, ażeby albo przestał rymować, albo przez sześć lat przynaymniey czytał z nayzimnieyszą uwagą *Sztukę rymotworczą* przez F. Dmóchowskiego, a mianowicie wiérsze następuiące:

Próżno ten Rymotworca na Parnaskie góry
Chce się lekkomyślnémi śmiało puście pióry,

Któremu niebo darów potrzebnych nie dało,
Ani się mu łaskawą twarzą nie rozśmiało:
Kto ma dowcip ścieśniony, i geniusz suchy,
Tego Pegaz poziomy, temu Febus głuchy.
Więc Ty! co niebezpiecznym ogniem zapalony,
W śliskie się Rymotworcow zapuszczasz przegony,
Niechciey próżno nad wiérszow składaniem pracować,
I nie sądź, że masz dowcip, gdy masz chęć rymować.
Lecz by zwodne pochopy cię nie omyliły,
Mierz się długo z twą głową, i probuy twey siły.

Rosienie 10 listopada r. 1821.

PRAWDZIWA FILOZOFIJA.

Wyiątek z Dziennika Rossyyskiego Kuryer Europy.

Alboż nie ten iest prawdziwym filozofem, kto w jakimkolwiek urodzony stanie, iakiekolwiek cierpi nieszczęścia, stale wszystko znosi, i nie sarka? Alboż nie ten, kto śmiało walczy z niepomyślnościami, spotyka wszystkie przygody z niepokonaném męztwem, z niezachwianą spokoynością duszy, z pocieszaiącą nadzieią? Tak! prawdziwa filozofiia właściwa każdemu zarówno stanowi. Każdy człowiek, który wykonywa iey przepisy, ma równe prawo do podziwienia czułych i dobrych serc.

Zazwyczay wysławiaią nam nieszczęścia panów piękném piórem przez druki. Zmianę ich losu maluią nam takiémi ko-

lorami, że, zdaie się, chcą w całym rodzaiu ludzkim wzbudzić politowanie; a udział, iaki świat bierze w ich doli, pomaga im znosić nieszczęścia: cała przeto stałość ich, iest nie co innego iak owoc chełpliwości, nie zaś wspaniałości duszy.

Ale znosić krzywdy, ubóstwo, nieszczęścia, żyiąc w ukryciu; z niezachwianym męztwem i zimną krwią wytrzymywać boleśne ciosy fortuny; o to cecha prawdziwey wielkości, przykład do naśladowania!

Tymczasem, kiedy kłamstwo i pochlébstwo, naydrobnieysze znakomitych ludzi niepomyślności, wystawuią nam w postaci naywiększych nieszczęść; tymczasem, kiedy na teatrach wysilaią całą chytrość rozumu i talentów, aby wystawić mniemane ich cierpienia; nikt nie zwraca uwagi swoiey na prawdziwe nieszczęścia, które dotykaią ludzi ukrytych przed światem: a czyż mało iest na świecie nieszczęśliwych z klass niższych, którzy w iednym dniu więcey cierpią, aniżeli bogaci w ciągu całego swoiego życia? czyż mało takich, którzy wcale nie troszczą się o to, aby drudzy dziwili się ich stałości, ich męztwu, i bez sarkania ulegaią nieprzyiaznemu swemu losowi, znosząc codziennie coraz nowsze niepomyślności? Niech sobie drudzy opłakuią Cycerona, Owidiusza, i innych znakomitych nieszczęśliwych, których ca-

lém było nieszczęściem, że usunięto ich od ulubionych mieysc. Mieliby siebie za bardzo szczęśliwych, gdyby tylko umieli porównać się z ludźmi znoszącemi prawdziwe nieszczęścia, żyiącemi w upośledzeniu, z ludźmi, których skargi nie dochodzą do żadnych uszu. Używali wszystkich wygod; mogli zaspakaiać wszystkie chęci swoie, oprócz iedney; mieli przyiaciół, sług, poddanych, gdy tymczasem tysiące podobnych im ludzi, którzy równie czuią roskosze i smutki, snuią się po świecie bez pomocy, bez przytułku, nie maiąc kąta, w którymby się mogli ukryć od zimna, ani kawałka chléba dla uśmierzenia głodu.

Powodem do tych uwag, było niespodziane spotkanie iednego człowieka, któregom znał będąc ieszcze dzieckiem. Spotkałem go w maytkowskich łachmanach, na drewnianey nodze, z torbą na plecach. Chciałem wiedzieć co przyprowadziło go do tak smutnego stanu. Dawszy mu iałmużnę, prosiłem, aby opowiedział mi swoie przypadki. Spóyrzał na mnie z twarzą bardziey wesołą, aniżeli zasmuconą, oparł się o swe szczudło, i zaczął opowiadać co następuie.

„Chociaż i cierpiałem na świecie biédę, wszelako nieszczęścia moie wszystko nie tak ieszcze wielkie, iak drugich ludzi. Prawda, straciłem nogę, i muszę dopiéro żyć z jałmużny; ale dzięki Bogu, nie mam

większey pobudki złorzeczyć na móy los. Towarzysz móy, który leży dopiéro tam na ulicy, stracił obiedwie nogi i iedno oko; a ia, chwała Bogu, nie przyszedłem iescze do takiego stanu.

„ Urodziłem się w Szrompskim hrabstwie, i zostałem pięcioletnim sierotą po śmiérci moiego oyca, który był ubogim rzemieślnikiem. Odesłano mnie do parafialney szkoły; a że oyciec móy nie miał stałego mieszkania, to i nie można było wiedzieć, w jakiém mieyscu urodziłem się. W przeciągu kilku miesięcy przeprowadzano mnie ustawicznie z jedney szkoły do drugiey. Widząc, że nigdzie iuż mnie nie przyymuią, przez dziecinność zacząłem był myśleć, że na całym świecie nie masz mieysca, gdziem się urodził. Nakoniec, znalazła się przecie dla mnie szkoła. Miałem ochotę uczyć się czytać i pisać; ale dozorca domu sierot użył mnie do inney roboty. Pięć lat pełniłem móy obowiązek, i byłem ze wszystkiego kontent, oprócz kułaków, któremi mnie nieraz częstowano. Pracowałem na dzień po dziesięć godzin; za to karmiono mnie i poiono. Prawda, nie pozwalano mi wychodzić za bramę, boiąc się abym nie uciekł. Ale co to znaczy! wolno mi było biegać po dziedzińcu, a tego i dosyć. Z domu sierot oddano mnie na wieś do iednego rolnika za parobka. Tu potrzeba było wstawać bardzo rano, a kłaśdź

się bardzo poźno: byłem syt, i nie skarżyłem się. Po śmiérci gospodarza, wyprawiono mnie z domu. Przyszło mi do głowy szukać sobie samemu szczęścia; wędrowałem od miasta do miasta; niekiedy znaydywałem dla siebie robotę, a niekiedy po kilka dni nic nie miałem w gębie; zdarzało się cierpieć biédę, ale bywały i wesołe chwile: gdyż złe nigdy nie bywa bez dobrego. Jednego dnia przechodząc przez maiątek sędziego pokoiu spotkałem zaiąca; iakiś zły duch skusił mnie abym rzucił na niego kiiém, gdyż iakby umyślnie szedł prosto na mnie. Zaiąc za piérwszém uderzeniem powalił się. Kiedym tymczasem, maiąc mą zdobycz na plecach, szedł sobie dokąd było potrzeba, przeklęty sędzia, pochwyciwszy mnie za kołnierz, zawołał groźnym głosem: „kto ty taki, hultaiu? kto ci pozwolił bić źwierzynę na moim gruncie?“ Czuiąc się bydź winnym, upadłem mu do nog, opowiedziałem mu moią genealogią, moie przypadki, i ze łzami prosiłem go o przebaczenie. Sędzia, nie daiąc niczemu wiary, odesłał mnie do sądu. Tam objawiono mi, że za różne łotrowstwa postanowiono odesłać mnie tymczasem do więzienia Newgaté, a potem postąpić ze mną, iak ze zbrodniarzem. Chociaż w ogólności słyszałem wiele nieprzyiemnego o więzieniach; iednak przekonałem się z doświadczenia, że dosyć dobrze

siedzieć w Newgaté. Karmiono mnie nie źle, i nie naglono do żadney roboty. Szkoda tylko, że tak spokoyne życie prędko się odmieniło; gdyż po pięciu miesiącach odprowadzono mnie na okręt, dla odesłania do Ameryki razem ze dwiestą innych zbrodniarzy. Podróż nasza nie zupełnie była pomyślną. Mnie i towarzywów moich rzucono na spód okrętu, nie mieliśmy nietylko zdrowego pokarmu, ale nawet i powietrza; połowa więźniów w drodze poumiérała, a druga ledwo żyła. Nakoniec, wysadzono nas na brzeg i oddano dzierżawcom plantacyi. Termin moiey kary ciągnął się lat siedm. Ponieważ nie umiałem czytać: kazano mi przeto pracować razem z Negrami.

„ Po skończeniu tego ciężkiego terminu, zacząłem zarabiać na siebie abym miał za czym powrócić do Anglii. Nie mogę opisać WPanu, radości moiey, kiedym stąpił nogą na oyczystą ziemię, lękaiąc się, abym powtórnie nie dostał się do więzienia za próżnowanie, pozostałem w mieście i pracowałem na żywność. Nieiaki czas interesa moie były w bardzo dobrym stanie, gdyż daleko więcey zarabiałem, aniżelim się spodziewał. Jednego wieczora spotkało mnie wcale nieprzyiemne zdarzenie. Kiedym szedł na swóy nocleg, dwóch ludzi schwyciło mnie na ulicy, powalili na ziemię, i kazali abym się nie ruszył: bylito wer-

bownicy, którzy zaciągali żołniérzy do morskiey służby. Panowie ci, powlekli mnie do sędziego pokoiu, który widząc, że nikt się za mną nie wstawia, nie czyniąc dalszych badań, wydał wyrok, że, iako człowiek podeyrzany, powinien obierać iedno z dwoyga, to iest, albo służyc z bronią w ręku, lub też zapisać się na maytka. Wybrałem piérwsze: znaydowałem się na bataliach pod Fonténoa i Lafelte; dostałem w piersi iedną ranę, która, dzięki Bogu, za staraniem półkowego lekarza, zagoiła się.

„ Po zawarciu pokoiu, wyprosiłem sobie dymissyą. Chciałem po dawnieyszemu pracować na żywność, ale nie mogłem dla rany, która niekiedy mocno mi dokuczała. Zapisałem się do służby Indyyskiey kompanii. Tu zdarzyło mi się bydź na sześciu bataliach z Francuzami. Gdybym umiał czytać, kapitan zrobiłby mnie pewnie kapralem, ale los nie przeznaczył mnie do rangi. Potém zachorowałem i byłem odesłany do Anglii; maiąc w kieszeni cztérdzieści gwineów, miałem zamiar włożyć moie pieniądze w handel, i spodziewałem się, wielkich korzyści, ale właśnie w tymże czasie znowu rozpoczęła się woyna, a ponieważ rząd potrzebował ludzi, to i zapisano mnie na maytka bez moiey wiedzy: i wprzód ieszcze, nim dopłynąłem do brzegu.

„ Na nieszczęście, nie podobałem się podszyprowi, który utrzymywał, że iestem hultaiem, że iakoby znam dobrze sztukę żeglarską, ale umyślnie gram rolę głupca, ażeby nic nie robić. A ia przysięgam, że ani litery nie znałem z tey sztuki, niezważaiąc wszakże na to, prawie codzień niemiłosiernie okładano mnie kiiami. Cztérdzieści gwineów były przy mnie, i ucieszyły mnie w moiém nieszczęściu, chowałem ie iak relikwie. Ale niestety! Francuzi zabrali nasz okręt, i odebrali mi moie piéniądze.

„ Wszystkich ieńcow odesłano do Brestu. Wielu z moich towarzyszów, którzy nie przywykli do zamkniętego powietrza, poumiérało, ale dla mnie była to nie nowina. Jedney nocy pod szyper zbliżywszy się do moiego łóżka maiąc przy sobie ukrytą latarnię, rzekł: „ Janie! czy masz siłę i śmiałość rozprawić się z wartą? “ — Gotów iestem wyprawić ią na tamten świat odpowiedziałem, i pochwyciwszy płaszcz, poszedłem za nim. Chociaż nie mieliśmy przy sobie żadney broni, iednak udało się nam szczęśliwie wykonać nasz zamiar. Napadliśmy niespodzianie na wartownikow, odebraliśmy im karabiny, położyliśmy wszystkich na mieyscu, i z dziewięcią drugiemi towarzyszami pobiegliśmy do brzegu; tam odwiązawszy łodź, puściliśmy się na morze.

„ Trzeciego dnia podróży spotkaliśmy *Dorseta*, iednego z naszych kaprów; chętnie przyiął na pokład ludzi, którzy byli gotowi służyć za kawałek chléba, gdyż umiéraliśmy z głodu. Dotąd szło wszystko dobrze; ale na nieszczęście fregata nasza, która miala tylko dwadzieścia trzy armaty, natrafiła na francuzkiego kapra *nieustraszony* o cztérdziestu działach. Nie zważaiąc na przewyższaiącą siłę nieprzyiaciela, biliśmy się iak lwy. Bitwa trwała godzin trzy, i na tym skonczyła się, żeśmy znowu wpadli w ręce Francuzow. Sądzę, że byłbym źle przyięty w Brest, ale przecie nas tam nie dowieziono, dla tego, że kaper Angielski *Wiper* zaraz na drugi dzień, wyrwał nas ze szpon nieprzyiacielskich.

„ Zapomniałem powiedzieć WPanu, że w bitwach tych, dostałem dwie ciężkie rany, straciłem cztéry palce na lewym ręku, i iedną nogę, którą urwała mi kula armatna. Gdyby podobało się fortunie, abym stracił nogę i palce, służąc na królewskim woiennym okręcie, a nie u kapra, to do śmiérci utrzymywanoby mnie na skarbowym koszcie, ale stało się inaczey, cóż robić! wszak z losem nie można walczyć; co komu sądzono, to trzeba cierpieć..... Chwała Bogu iestem zdrów, mam dobry apetyt, i teraz nawet póydę wypiię za zdrowie WPana. “

Skłonił się i odszedł. Oto człowiek,

rzekłem sam do siebie, który całe życie był nieszczęśliwym, i nieskarży się. Dziwiłem się iego męztwu, spokoyności umysłu, i wniosłem, że przyzwyczaienie się do cierpień, daleko lepiey uczy ie znosić, aniżeli wszelkie filozoficzne rady.

A... K....

DUMANIA

W czasie przechadzek samotnych, przez Józefa Bychowca.

MŁODOSC.

Gdybyśmy tak z młodości, iak z wieku dziecinnego niewinnie wychodzili, żądalibyśmy nayskwapliwiey zwrócić się do lat młodzieńczych. Młodość iest w życiu naszém wielką uroczystością; w niey byt nasz, cnota i sztuka, wabią nas pieszczotami iak łagodne boginie; w poźnieyszym wieku odzywaią się do nas z przykazaniami, iak bóztwa srogie. W tymto ieszcze roskosznym czasie, przyiaźń w greckiey wesołey przemieszkiwa świątyni; nie tak iak poźniey, w ciasney i posępney gotyckiey kaplicy.

Kazimierz był w naypięknieyszym i nayważnieyszym wieku podróży ludzkiey do grobu, toiest, miał lat ośmnaście. Dru-

gi ten dziesiątek życia składa się z dni naydłuższych i naygorętszych; a iako gorąca strefa pomnaża razem wielkość i iad zwiérząt, tak podobnie w gorącości młodzieńczey doyrzewaią rychley miłość, przyiaźń, gorliwość za prawdą, duch rymotworstwa; ale też i namiętności ze swémi zębami i pęcherzykami iadowitemi, wzrastaią prędzey. W tymto wieku, a często i wcześniey, dziewica przechodzi ze swych lat na uśmiéchach strawionych, i kryie swe oko stęskniałe pod zwieszonémi gałęziami tey samey żałobney wierzby, pod którą młodzieniec zamyślony ochładza swe piersi i westchnienia. Szczęśliwy młodzianie! w tey ważney chwili wszystkie Gracye, poetyczne, niewieście i sama natura porywaią twą rękę, wyraznie tobie się pokazuią, i wtedy iesteś nayszczęśliwszym. O nigdy iuż, nigdy znowu ten drugi dziesiątek życia nie powraca! więcey on ieden ma w sobie przyiemności, niż wszystkie uroczystości nayokazalsze. Jak skoro zaś przeydzie, wtedy się ręka śmiérci zbliża do naszych piérsi i oczu. Cokolwiek wtenczas myślimy, lub wyrażamy, straciło iuż powab poranny, a starzec wtedy tylko uczuie żywo widoki świata wyższego, kiedy się nanowo (co bydź może) w młodzieńca przeistoczy.

Nim do pożegnania przyszło, Kazimierz, dręczony smutkiem, przechadzał

się po wszystkich ulubionych mieyscach, które opuszczał; stąpał zwolna po tym świętym grobie lat dziecinnych; nie opuścił żadnego drzewa, pod którego cieniem spoczywał, żadnego wzgórka, z którego się słońcu przyglądał: ze wszech stron stawiły się iego oku same zwaliska dzieciństwa przyiemnego. Z tego raiu pierwszey młodości, widział za sobą całą wesołą przeszłość, iakby roskoszną rzeczkę; przed sobą postrzegał liczne drogi i rozległe przestrzenie, po których los tak rychło ludzi rozgania.

Byłato chwila, kiedym go ściskał w obecności wschodzącego słońca, przed całą wielką naturą, wznoszącą człowieka ślepego niewidomém ramieniem w obszérne, czyste, nieznane krainy: w takich chwilach słów niepotrzeba, a gdy się co wyrzecze, wyrazy maią moc naypotężnieyszą.“ Tu Kazimierzu, mówiłem, tu w obliczu niebios i ziemi, przed wszelkiemi niewidomemi około człowieka iestestwami, daię ci z rąk moich opiekuńczych pięć wielkich darów; — daię ci niewinne serce — cześć niepokalaną — myśl o nieskończoności — los twóy — i nadobną postać. Nie na ziemito godziny będą cię zapytywać, czyś te wielkie dary utrzymał, albo ie utracił; lecz kiedyś porównywać będą przyszłe twoie życie z teraźnieyszém.

Nieucałowawszy go, odszedłem; uczu-

cia naylepszey woli głębiey się w sercu wrażaią, gdy im przez znaki zewnętrzne okazywać się nie dozwalamy.

W północ nowego roku, starzec stoiąc w oknie, poglądał wzrokiem doskwieraiącey rozpaczy na nieruchome wiecznie kwitnące niebo, na spokoyną, czystą i białą ziemię; nikt na niey, prócz niego, nie był tak udręczonym i bezsennym. Zbliżał się bowiem iuż do grobu, okrytego nie barwą zieloną młodości, lecz śniegiem starości; ale z czémże doń przychodził? z błędami, występkami i chorobami, z wyniszczoném ciałem, z duszą skalaną, z piérsią pełną iadu, ze starością pełną żalu. Piękne dni iego młodości przemieniły się dzisiay w straszydła, wskazuiące mu ów pogodny poranek, kiedy oyciec stawił go poraz piérwszy na rozdrożu życia. Dwie tam były drogi: po prawey stronie torem słonecznym cnoty, prowadzi droga do krainy spokoyney, pełney światła; po lewey zaś, wśród kretowin zbrodni, wstępuie się w jaskinię czarną, pełną ściekaiącego iadu, sykaiących wężów i ciemnych duszących wyziewów.

Niestety! węże wisiały mu u piérsi, a krople iadu wyskakiwały na ięzyku; poznał więc, co się z nim dzieie.

Odurzony niewypowiedzianém udrę-

czeniem, zawołał do niebios: „wróćcie mi młodość! o oycze móy, postaw mię znowu na rozdrożu, abym inaczey obrał!“

Ale iego oyciec i iego młodość, zniknęły iuż oddawna. Postrzegłszy błędne światła iskrzące się po bagniskach i w dalekim gasnące przestworze, zawołał natychmiast: „iest to obraz głupich dni moich.“ Widział iak gwiazda od nieba oderwana, błyszcząca w swém spadaniu, niknęła na ziemi: „to ia iestem;“ rzekło zakrwawione iego serce, a węże żalu skryły się głębiey w ranach iego.

Obłąkana imaginacya wskazywała mu snuiące się widma po dachach, a młyn wietrzny wznosił swe skrzydła, grożąc zgruchotaniem iego osoby; zdawało mu się ieszcze, iż w blizkiey trunie szkielet przybierał rysy iego powoli.

W tym odrętwiaiącym przestrachu słyszeć się daie nagle, iakby daleki śpiéw kościelny, muzyka z wieży na obchod nowego roku. Łagodnieysze wtedy uczucia w nim się wzbudzaią; pogląda spokoyniey na widnokrąg i na rozległą ziemię, przypomina swey młodości przyiaciół; ci szczęśliwsi i lepsi od niego, byli nauczycielami ziemi, oycami szczęśliwych dzieci, i zupełney używali pomyślności. Rzekł wtenczas: „O gdybym był chciał, mógłbym iak i wy tę piérwszą noc suchém przespać okiem!— Ach! nayukochańsi rodzice, mógł-

bym bydź szczęśliwym, gdybym podług waszych życzeń postępował i wykonywał wasze nauki!"

Gdy tak w obłąkaniu przypomina sobie czas swóy młodociany, zdaie mu się iak gdyby szkilet z przybranémi iego rysami z truny powstawał. Nakoniec przez zabobonność, która w nocy Nowego roku postrzega duchy i przyszłość, stał się ów szkilet rzeczywiście żywym młodzianem, i w postawie nadobney wystawiał mu gorzko piérwszą iego kwitnącą postać.

Nie mógł znieść tak okropnego widoku; zakrył oczy, a łzy gorące lały się strumieniem po śniegu; w udręczeniu i prawie nieżywy wzdychał tylko cicho: „O młodości zwróć się, zwróć się raz tylko ieszcze!"

Zwróciła się młodość: był bowiem istotnie młodzianem, tylko mu się w nocy Nowego roku tak straszliwie śniło. Lecz błędy iego nie były snem, ale rzeczywistością. A tak z naygorętszą żarliwością dziękował Bogu, iż, będąc ieszcze młodym, mógł się zwrócić z brudnych manowców występku, a póyśdź torem słonecznym w krainę plonu i prawey pomyślności.

D U M A.

T Y M O N.

W dzikiey zarośli, na pochyłey skale,
O którą Dniester rzuca bystre płyny;

Znędzniały Tymon rozwodził swe żale,
Po zgonie swoiey naymilszey Iustyny,
Na wszystko zimny, głuchy i nieczuły,
Gubił się w myślach, co mu życie truły.

„O wielki Boże! o to błagam ciebie:
Gdy nieszczęść brzemie pożera mię skrycie,
Lub niech mię woda w swych wałach zagrzebie,
Lub weź mi pamięć, kiedy nię chcesz życie.
Sen mię unika, świat o demnie stroni,
Tylko iey obraz za mną wszędzie goni.

Ona tak miła iak ten dzień wiosniany,
Kiedy się w kwiatow wonie przyodzieie,
Weszla do duszy a zadawszy rany,
Zabrała szczęście i szczęścia nadzieie.
Dla mnie i wiosna zmienia postać miłą,
Z iey życiem wszystko życie utraciło.

Roskoszą tchnęły te dzikie pustynie,
Kiedy po brzegach Dniestru z nią chodziłem,
Spokoyniey szumiał wicher po dębinie,
I iam nie płakał, bo szczęśliwy byłem;
Dziś wszędy burza, tylko wietrzyk miły
Kołysze trawką koło iey mogiły.

Kiedy w chróscinie słowik piosnkę nucił,
Ona mu wzaiem przesyłała tony;
Lecz tamten umilkł, swe siedlisko rzucił,
Głosem Iustyny jakby zawstydzony.
Gdy iey głos mamił tę ptaszynę małą
Ach! któż wysłowi co się zemną działo?

Smiérć nieszczęśliwym pewną ulgę daie,
Wszak ona zwykła łzy nędzy ocierać,
I mnie iuż tylko iedno pozostaie:
Lub żyć bez szczęścia, albo z niém umiérać.
Zbyt dobrze czuię, iak krew w żyłach stygnie,
Dziś się śmiérć moia, lub życie rozstrzygnie."

Tak ięczał Tymon, a lasy ponure
Wydaiąc echa ięki powtarzały;
Iuż mrok szarawy zasępiał naturę
I trzody z pastwisk leniwie wracały.
Umilkło wszystko, gdy gwar dzienny znika,
Tylko znak śmiérci, wydał głos puszczyka.

Na tron w milczeniu wyszedł xiężyc blady,
Kryiąc się czasem pomiędzy obłoki;
Wyszedł i smutek, za nim rozpacz w ślady,
By dręcząc ścigać śmiértelników kroki;
A wtem zaiaśniał w ponurey żałobie,
Promyk nadziei na Iustyny grobie.

Tak gdy się szerzy postrach do okoła,
Wkrada się rospacz do duszy Tymona,
O! cóż gwałtowna czucia moc nie zdoła,
Kiedy nią rozpacz kieruie szalona!
Wznosząc ku niebu na pół martwe dłonie,
Rzuca się w przepaść i w przepaści tonie.

Odtąd to mieysce iest mieyscém boiaźni,
Kmiotek w wieczorney omiia go dobie
Tylko ci, których czuła miłość draźni,
Sadzaią róże na kochanków grobie.

I z was cne dusze! niech każda poświęci,
Kilka łez tkliwych ich czułéy pamięci.

T. Baraniecki.

MODY PARYZKIE.

W magazynach ubiorów i u szwaczek stroiów naymodnieyszych, używaią wiele materyi koloru (*flamme de punch*). Merynosy w tym kolorze są wyborne. Widzieliśmy także bardzo piękne pół kapotki w tym kolorze, garnirowane plissą tegoż koloru.

Lecz co naybardziey ściąga uwagę u modniarek, to są zawoie z gazy gładkiey zakręconey w duże rulety, i Tyrolskie kapelusze albo (à la Jeanne d'Albret) z czarnego axamitu.

W Tuileries, widzieliśmy kilka szpencerów z axamitu mienionego, który wpada w kolor szary, różowy i zielony, na białych sukniach, garnirowanych aż po kolana; i niektóre suknie z *gros d'été*, których garnirowanie składało się z pół xiężyców robionych z ruletek, po trzy razy w ukos.

Kolor żółtobrunatny i mieniony, *iaki był na płaszczu P. Lavalliere*, używane są na salopy bez futra; podszewka onych różowa, iasno-błękitna, albo biała. Oprócz kaptura, iest ieszcze kołnierz stoiący.

Przy wyyściu z teatru *des Bouffes*, uprzywileiowanego co do stroiów elegantek i naylepszey muzyki, widać często damy w salopach czarnych atłasowych, na które oczekuią bogate ekwipaże.

Bardzo mała ilość osób średniey klassy, może się stosować do mody, gdyż ona nieograniczone ma wydatki.

MODA GALLO-GRECKA.

Objaśnienie ryciny Nru 11.

Tunika z szeroką wypustką fałdowaną, długa po kolana, fałdy zaś te idą aż do samego dołu; stan ucięty i marszczony około, z pasem na wiérzchu równie fałdowanym; rękawy proste z jednym szwem, i wielu wypustkami okrągłemi. Bez guzików. Naystosownieysze sukno na ten ubior, granatowe lub czarne.

Maytki szerokie, fałdowane z przodu; bez guzików, tegoż koloru co i Tunika.

Kamzelka merynosowa albo kaszemirowa zakładana iedno na drugie, bez guzików.

Ten piękny ubior, przyięty iest od wielu elegantów, i wkrótce widziany będzie po naywiększych zgromadzeniach.

Dozwala się drukować z warunkiem dostawienia do Komitetu Cenzury 7miu exemplarzy dla miéysc prawem przeznaczonych i niewydawania bez biletu. Dnia 20 miesiąca Listopada roku 1821:

X. Jędrzey Ktągiewicz K. W. P. P. Z. Czł. Kom Cen.